

Zarzycka - królowa romansów

Irena Zarzycka (1900-1993) należała do uznanych twórców literatury popularnej. Była autorką bestsellerów, na przykład powieść „Dzikuska” miała siedem wznowień przed 1939 rokiem i doczekała się także adaptacji filmowej. Zarzycka mieszkała w Pabianicach. Uczęszczała tutaj do Gimnazjum Ogólnokształcącego. Wspomnieniom pabianickim poświęciła książkę autobiograficzną „Panna Irka” (1931). Była to pierwsza literacka prezentacja miasta napisana z punktu widzenia młodej osoby. Ten pozytywny obraz Pabianic przywołała również w słowie wstępnym do wydania „Panny Irki” z 1990 roku. Mężem pani Ireny był pabianiczaniec - Mieczysław Zarzycki, porucznik 13. Pułku Ułanów Wileńskich, który został zamordowany przez Rosjan w Charkowie.

We wstępie do „Panny Irki” Zarzycka pisze: Czas akcji to lata 1913-1919, a więc dla dzisiejszych czytelników, zwłaszcza młodych, to zupełnie inna epoka, inny, może nawet nieprawdziwy, świat. Aby więc przybliżyć im, ciemniejący już w dali czasu, obraz tamtych dni, podaję kilka szczegółów dotyczących miejsca akcji i jej bohaterów.

Jednocześnie pragnę dać wyraz serdecznej pamięci profesorom odwołanym już na wieczną emeryturę, kochanej przez wychowanków szkole i miastu, w którym mogła ona istnieć i w niewesołym okresie historii Polski rozwijać się pomyślnie.

Pabianice to za moich czasów nieduże fabryczne miasto czyste, pracowite i pogodne. Istniało w nim kilka szkół, m.in. Pensja żeńska, ale oczkiem w głowie mieszkańców, a zwłaszcza zamożnych właścicieli zakładów przemysłowych, było 8-klasowe koedukacyjne Gimnazjum Ogólnokształcące, przemianowane później na: Gimnazjum Matematyczno-Przyrodnicze im. J. Śniadeckiego. W 1919 roku zniesiono koedukację, a dziewczęta pozostały tylko w 8 maturalnej klasie. Zabawne było, że na świadectwach absolwentek widniały pieczęcie z napisem Męskie Gimnazjum Matematyczno-Przyrodnicze im. J. Śniadeckiego. Miały więc panny okazję do dumy. Wieloletnim dyrektorem placówki był Henryk Lipski, jednocześnie wykładowca fizyki w starszych klasach, świetny organizator i pedagog. Niestety w 1919 roku objął stanowisko dyrektora Gimnazjum im. J. Zamojskiego w Warszawie.

Nasza szkoła miała obszerne widne klasy i ogromną salę gimnastyczną zaopatrzoną we wszystkie znane ówczesnie przyrządy do różnych ćwiczeń. Pamiętam jeszcze 4 grubaśne, od sufitu do ziemi zwisające liny i ćwiczenia na nich. Gimnastyka była przedmiotem obowiązkowym. Dwuizbowy gabinet fizyczny z całym arsenałem pomocy naukowych (opiekunowie szkoły bardzo o to dbali) i gabinet chemiczny z obszernym zapleczem – istne laboratorium czarnoksiężnika.

Wśród liczного grona wykładowców znaleźli się ludzie o działalności i nazwiskach znanych w latach późniejszych daleko poza obrębem naszego miasta.

Teofil Wojeński - polonista i historyk, autor 2-tomowej „Historii Literatury Polskiej”, późniejszy profesor Uniwersytetu Warszawskiego, redaktor wielu czasopism pedagogicznych;

Włodzimierz Gałęcki - polonista, autor książki „Jeszcze raz przez życie”, późniejszy kurator oświaty w Krakowie;

Ludomir Wolfke - matematyk, późniejszy profesor Politechniki Warszawskiej.

Nie wymieniam wielu innych naszych wykładowców, ale do dziś rysuje mi pamięć kilka wybitnych indywidualności, jak Stefana Piątkowskiego - przyrodnika, pedagoga zwalczającego werbalizm w nauczaniu, często prowadzącego lekcje na wycieczkach; Stefanię Thorner, absolwentkę Sorbony, uczyła nas języka francuskiego, zamordowana w czasie II wojny przez hitlerowców; Helenę Śliwównę - znakomitą germanistkę, księżdzę doktora Koneckiego „od łaciny”, no i Zofię Sawicką, czuwającą nad „sposobem bycia” młodzieży, nazywaną serdecznie ciocią Zosią. To oni wszyscy obdarowali nas

wiedzą i czymś bardzo cennym: pogodnym spoglądaniem na sprawy ludzkie.

Ze względu na wysoki poziom placówki zjeżdżała tu młodzież męska z okolicznych ziemiańskich dworów, mając zapewniony internat. Z pobliskiej Łodzi tramwajem przybywała duża grupa dziewcząt i chłopców, przeważnie do klas starszych. Mimo tak zróżnicowanych pochodzeniem środowisk, panowała w szkole przedziwna atmosfera wzajemnej życzliwości i zaufania. Taką też atmosferą oddychało wówczas, a nie był to łatwy okres historii miasta.

W całej opowieści nie ma fikcyjnych postaci ani wymyślonych faktów. Jest to po prostu pamiętnik, rozpisany na poszczególnych narratorów. Jedynym bohaterem, którego wbrew prawdzie uśmierciłam, był uczeń 5 klasy, uciekł do Legionów, a z niewoli powrócił w 2 lata po mszy żałobnej za jego duszę. Długo chorował, ale wyzdrowiał ku ogólnej radości kolegów i całego miasta.

Za moje kolorowe dorastanie dziękuję Ci dobra szkoło! Dobre miasto nad rzeką Dobrzyńką!

Zarzycka opisuje zabawne, a czasem bardziej poważne sytuacje z życia szkoły i miasta.

Lekcja francuskiego

To był rok 1913. Miałam wtedy lat dwanaście, bajecznie usmarowane atramentem ręce, zadarty nos (ale nie tak znów jak Kościuszko ... nie...) i włosy w paski, to znaczy każdy promień innego koloru, a zasadniczo ton był rudawy, czemu się najwięcej dziwowała moja matka, jako że sama uchodziła za demoniczną brunetkę, i mój papa, który też był stuprocentowym szatynem. Nie przypominam też sobie, by mama kiedykolwiek miała predylekcję do blondynów... tak że moje rude włosy, a raczej ich pochodzenie zostaną dla mnie zagadką.

Siedziałam w trzeciej klasie szkoły koedukacyjnej w miasteczku P. ... Ech ... psiakość ... morowe było miasto... Jak czasem w letni wieczór w pięknych starych alejach zabzykały chrabolki, a z miejskiego ogrodu dobiegły tony walczyka... Boże miły! Człowiek nie wiedział, co ma robić, taki był przepełniony beztroską, szczęściem ... weselem... wtedy to kochało się bractwo na zabój ... chłopaczyska robili perskie oczy do koleżanek i jak nie było widać władzy, to nawet jeden z drugim zuch wziął ukochaną pod rękę (jeżeli przy tym nie dostał w zęby, to miał wyjątkowe szczęście), a po kieszeni się macał i udawał, że ma papierosy. (...)

Pamiętam np. lekcje francuskiego, które na ogół dłużyły się i wlokły jak dychawiczne, ochwaczone szkapy. Panna Zofia (nauczycielka) nie mogła w żaden sposób z koniugacji i deklinacji wydobyć nic ciekawego i dlatego nastrój był podły. Więc jeżeli ktoś chciał choć troszkę ożywić zasypiające z nudy temperamenty, czy należało karać takiego dobroczyńcę?

I było raz na francuskim wesołe zdarzenie, które mi mamusia bardzo dokładnie wbiła w pamięć. To miejsce czasem można nazwać i pamięcią.

Nastrój, jak przeważnie, psi. Słówka francuskie turlają się po klasie niby dziurawe piłki ... chłopcy ziewają, aż przez czerwone młode paszce podłogę widać, dziewczęta robią co mogą: trochę obgryzają paznokcie, trochę korespondują zasadniczo kręcą się i wiercą jakby im kto ławki szpilkami poutykał. Panna Irka z Każką próbują kiwać jednocześnie dużymi palcami lewych rąk i dużymi palcami w prawych pantoflach, a poza tym z nieopisanym zachwytem obserwują wróble za oknem.

Wobec tego Benon uważa za punkt honoru ożywić ponury nastrój. Chrząknął, wytarł nos, co w klasie wywołało radosny poszmer i wstał.

- Proszę pani, jak jest po francusku „czy ja mogę wyjść”?
- Nie, nie możesz... siadaj.

A mnie już coś w środku zakręciło i wybucham radosnym, piskliwym śmiechem ... Klasa na to tylko czekała.

Zadowolony Benon ciągnie dalej.. - Ja teraz nie potrzebuję wychodzić proszę pani, bynajmniej... tylko tak na wszelki wypadek chce wiedzieć jak to będzie po francusku...

Klasa już ryczy, sapie i parska, jakby Benonek powiedział naprawdę coś szalenie dowcipnego, ale to już tak wtedy było ... im rzecz głupsza... więcej błaża, tym większą wywoływała radość.. Dzieciarnia cieszyła się, że może pękać ze śmiechu, czego przecież na lekcji nie wolno robić.

A kiedy Benon godnie siadł, wstał Janek - cicha woda i wytknąwszy dwa palce do wysokości nosa zagulgotał:

- Proszę pani, pardon madame, a jak jest po francusku katastrofa?
- Nie przeszkadzaj, bo za drzwi wyrzucę, na cóż ci ta wiadomość?
- E, teraz niepotrzebna, ale tak ... na wszelki wypadek.

Dobry humor momentalnie rozproszył mgły nudy, wiedzieliśmy już, że zanoszą się na byczy kawał. Janek zrobił w moją stronę perskie oko, a ja znów zachichotałam ucieszenie... Nagle... usłyszałam swoje nazwisko, oj... niedobrze... ba, nawet całkiem źle. Do tablicy maszeruję krokiem z lekka chwiejnym i robię desperackie miny w stronę chłopaków.

- Opowiedz mi ten obrazek.

Coraz gorzej... też pomyśl... wrywać uczennicę, która zielonego pojęcia nie ma co w ogóle zadane. Skręcam więc przedziwnym sposobem nos w lewą, a usta w prawa stronę (teraz już nie potrafię tej sztuki), co klasę zawsze bardzo cieszyło i pytam jak mogę najśłodziej:

- Po francusku, proszę pani?
- Może wolisz po chińsku ...

I zaczynam stękać manipulując przy tym kijkiem:

- ... Nous voyons ici (widzimy tutaj)
- Co to znaczy ici, gdzie to jest ici - rzuca zdenerwowana nauczycielka.
- No przecież tu... o... pokazałam ... na środku pokoju...
- Ty mi po polsku nie tłumacz smarkata, mów po francusku.
- Ależ dobrze... ja tylko się namyślałam... przecież pani sama każe nam myśleć - mówię szczerze i czupurnie.

Pani utkwiała we mnie surowe, a śliczne piwne oczy z tak wiele obiecującym wyrazem, że zrobiło mi się słabo i jękałam dalej, aż do miejsca, w którym znów mnie „zatknęło”

- Et que voyons nous sous le lit? (a co widzimy pod łóżkiem)

Pod łóżkiem wyraźnie leżał dywanik, ale na śmierć zapomniałam, jak się taki mebel po francusku nazywa.

- Moje dziecko, idź na miejsce i przyzwyczajaj się do odrabiania lekcji..
- Proszę pani, ja wiem, ja tylko chciałam odpocząć... naprawdę wiem..

A właśnie w tej chwili z którejś ławki pada ostry wyraźny szept:

- La tasse de nuit (nocnik)

Wykrzyknęłam więc pełną piersią, głosem dumnym, triumfalnym:

- O już wiem ... no!... La tasse de nuit!

Szyby zadrżały od wybuchu szalonego młodego śmiechu, panna Zofia ukryła srebrną głowę za dziennik, a potem rzekła stłumionym głosem:

- Idź na miejsce.

I kiedy szłam do ławki myśląc, co znów powie mi mamusia za dwóję. Benon wstał.

- Proszę pani, teraz to ja już koniecznie muszę wiedzieć jak jest "czy mogę wyjść".
- Już ci raz mówiłam – siedź, a dla rozrywki powiedz mi passe defini od avoir (czas przeszły dokonany od czasownika mieć).
- Na siedzący?
- Benon bez komedii... słucham.
- Passe defini od avoir... oj... - chwycił się za brzuch i klusem wybiegł z klasy, a w tej chwili podniósł się Janek i zadeklamował:
- pardon madame... memu koledze zdarzyła się la katastrofa (z akcentem na ostatnie a).

Zamieszki uliczne

To było jakoś ku wiośnie... w naszym miasteczku okupowanym przez Niemców rozeszła się pogłoska, że wojsko ma zabierać dzwony kościelne. Ludność chodziła jak podminowana. Wokół kościołów gromadziły się od rana do wieczora tłumy... pilnowali... Robotnicy trzęśli spracowanymi rękami i groźnie zapowiadali – nie damy. Kobiety hałaśliwie wyrażały oburzenie. Niedostatek, kartkowy chleb... krzywdy, jakie wyrządziła wojna teraz wołały odwetu .. teraz dały się poznać.. Kradzież dzwonów miała być tą kroplą, która przepełnia kielich.

Tego dnia rano, jak zwykle poszliśmy do szkoły, tymczasem już po drugiej lekcji patrzymy przez okno, a ulicą pędzą ludzie jak do pożaru z krzykiem i lamentem – dzwony zabrali!

Ktoś z ósmej klasy wybiegł przed bramę i wrócił z oznajmieniem, że ludzie idą odebrać dzwony. Diabeł by nas wtedy w szkole nie zatrzymał. Stróż dzwoni na lekcję, a my klusem po schodach i na ulicę ... Irka z nami...

Klub (Klub Dziesięciu Rycerzy Irki) ruszył w komplecie a poza tym jeszcze paru bursiaków z siódmej i ósmej, co zwiac zdążyli. Żaden z chłopców nie wziął przez pośpiech palta, ja nawet czapki nie zdążyłem znaleźć. Irka biegła jak po klasie ... ani paltocika, ani beretu, tylko jej się czupryna trzęsła... Zdyszani, bez tchu dopadliśmy głównej ulicy i nie wiemy czy biec teraz w stronę Starego Kościoła, czy Nowego... ale zaraz zorientowaliśmy się, bo dobiegł nas chóralny śpiew „Z dymem pożarów”.

Chłopcy ruszyli galopa, a jeszcze przed nami o dobre dwa metry gnała Każka, która niewiadomym sposobem zjawiała się wśród nas i w dodatku na przodzie. Naprzeciw zaś szedł ogromny pochód złożony z kobiet i dzieci... mężczyźni stanowili straż tylną. Tłum szedł równo, porządnie i śpiewał pełną piersią...

Co chwilę też zrywały się groźne okrzyki: Oddać dzwony! Oddać dzwony! Dołączyliśmy się do pierwszych szeregów i śpiewali ze wszystkimi... Nagle naprzeciw nas wykwitł jak spod ziemi oddział pałkarzy. Zaczęli rozpędzać tłum krzykiem, a gdy to nie pomogło, pałkami... To się nam podobało ... tłum był tłumem, a policji niewiele. Puściliśmy pięści w ruch... Kobiety piszczały, ale tłukły dryblasów gdzie popadło ... Mężczyźni szli łąwą i ciągnęli przerwana pieśń. Zdawało się, że zwycięstwo jest całkowicie po stronie ludzi, gdy na pomoc rejterującej władzy przybiegli żołnierze i wtedy dopiero wszczął się krzyk, lament i istne piekło.... Żołdactwo prało szablami, gdzie popadło, kobieta nie kobieta... dziecko... wszystko jedno... ludziska stracili głowy, jedni uciekali na oślep, gubiąc laski i

kapelusze, inni szli rozpaczliwie z gołymi rękami na szable...

Nasze zuchy bez względu na niebezpieczeństwo rzucili się jak byki do ataku z głowami naprzód na uzbrojonych dryblasów, by odwrócić ich uwagę od kobiet... I wtedy to Wacusz, bursiak z klasy siódmej, dostał szablą w głowę, tak że od razu stracił przytomność, a poza tym paskudnie został pokiereszowany cały Klub, gdyż bez zastanowienia doprawdy rzucał się gdzie największy tłok. Każka biegnąc upadła na kamień i w okropny sposób stłukła kolano, Irka zaś dostała płazem szabli w plecy tak silnie, że upadła i ten sam żołnierz, który ją uderzył, podniósł dziewczynę, przeprosił i wytłumaczył, że wcale nie ją chciał trafić, tylko jakiegoś gazeciarza. Może biedak ma w domu taką córkę!

Pochód został rozproszony. Na placu smętnie leżały kapelusze i połamane laski... Ulice opustoszały jak po zarazie, a my wszyscy siedzieliśmy u fotografa i opatrywali sobie dziury... A dlatego tam a nie gdzie indziej, że zakład fotograficzny był właśnie w terenie walki... Sprowadził nam pocziwy człowiek felczera, który opatrzył i kolano Każki... zaś Irka jechała co chwila do Rygi i w dodatku splunęła parę razy krwią. Stasiak z ręką na temblaku i Zygmunt z owiazaną szyją odprowadzili ją do domu... a ten głuptas dziewczyna nic matce nie powiedziała, ani do doktora nie poszła... Uderzenie zaś musiało być silne i niebezpieczne, bo parę dni jeszcze pluła krwią i nie mogła się gimnastykować.

W Domu Ludowym (obecnie Miejski Ośrodek Kultury)

(...) Janek przynosi gazetę, a tam stoi wydrukowane jak wół, że do naszego miasteczka przyjeżdża operetka i da trzy przedstawienia: „Księżna czardasza”, „Baron Kimmel” i „Polska krew”. Bilety drogie, a musimy być przecież na wszystkich trzech... jakżeby to... Klubowcy... pionierzy szczytnych idei ... artyści, opuściliby taką okazję? ... Mieliśmy jeszcze pieniądze z koncertu, ale te trzeba było zostawić dla całej klasy na teatr, mowy nie ma o przeszwarcowaniu się na gapę. Troska zasępiła nam czoła i nosy opadły na kwintę... jest źle nie ma co... urządzić się już nic nie zdąży, bo tylko trzy dni czasu... Irka by jeszcze od swojej matki forszę wyciągnęła, ale nie wszyscy klubowcy mieli takie szczęście, zaś dziewczyna była solidarna i prosić też nie chciała. Jednym słowem tragedia. Statut klubowców zabraniał sprzedawać stare książki, oddawaliśmy je do Bratniaka dla uczniów z młodszych klas, którzy kupić nowych nie mieli za co. Siedzieliśmy sobie w parku smętnie i zadumani godzinę, dwie...aż Irka wyskoczyła z pomysłem:

- Nie ma innej rady, tylko trzeba iść do dyrektora Domu Ludowego i poprosić, żeby nas wziął do sprzątnięcia sali i do garderoby, a za to pozwolił zostać na przedstawieniu.

Ponieważ w miasteczku stałego teatru nie było, to wszystkie gościnne przedstawienia odbywały się w gmachu Domu Ludowego, gdzie służby stałej nie trzymano prócz stróża, a w razie przedstawień Zarząd wynajmował robotników do ustawiania dekoracji, sprzątnięcia sali, projekt Irki był do wykonania. Poszliśmy całą kupą i przedstawili swoje ultimatum. Dyrektor Domu Ludowego uśmieł się serdecznie, ale pozwolił... i w dzień przedstawienia prosto ze szkoły poszliśmy do teatru i póki życia nie zapomnę zapału, z jakim szorowaliśmy podłogę i ustawiali krzesła i szykowali na wieczór szatnię. A co to był za raj dla Klubu, gdy poszli pomagać za kulisy, kiedy znaleźli się twarzą w twarz z prawdziwymi artystami!

Operetki zrobiły na młodzieży bezwzględnie lepsze wrażenie niż „Halka”; nuciliśmy całe pauzy najładniejsze melodie z Czardaszki., która wywołała ogólny zachwyty, ale to wszystko nic w porównaniu z emocją, jaką mieliśmy tam za ciasnymi kulisami i przy owym wspaniałym sprzątnięciu.

Irka opasała się ścierką i buzię miała jak murzyńskie dziecko według mnie, Stefan atoli twierdził, że wygląda jak zebra, w paski, co ona mu na to odpowiedziała nie wiem, bom nie dosłyszał, ale widziałem potem, jak mokry gałgan opisał w powietrzu piękny łuk i przykrył jej głowę, ona uniosła się honorem... myła akurat okna i kiedy Stefan przechodził uzbrojony w miotłę wylała mu całą zawartość kubełka na rycerską czuprynę, na bohaterską pierś i nie obute podstawy:

- Widzisz masz, nie zaczynaj!

Pięknie też było, gdy Karolek siadł do fortepianu, a my wszyscy z utensyliami pracy wykonaliśmy na scenie taniec „zwycięstwa czynu”, tak go zatytułowała Irka, o ile sobie teraz przypominam był to zdecydowany tan wariatów... Stróż Domu Ludowego siedział w pierwszym rzędzie, parskał, łyż śmiechu wycierał i po kolanach się klepał.

- Różne tu już byli artyści i różne rzeczy grywali, ale się nigdy tak nie ześmiał jak teraz..

I kiedy już zbieramy się do domu, aby w uczciwe szaty oblec spracowane i spocone cielska, ta mokra z uciechy foka (był do foki podobny naprawdę), ten stary rozpustnik wyciąga z kieszeni papierosy:

- No, może tak panowie papierosiego? ... jak nie starczy to stara dorobi... Chłopaki jak świce ... aż mi serce rośnie .. nie wstydziście się roboty...

Spojrzał jeden na drugiego... pochrząknął dla fasonu i łapę wyciąga... Irka akurat poprawiała sobie pończochy, bo jej zupełnie w obwarzanki spadły... każdy z nas już się sztachnął, a ta smarkula z kąta wrzeszczy...

- No, a ja?... a mnie?...
- Koci ogon w zęby- mruknął Janek.
- Toś pewnie próbował nieraz - odpaliła z furją i śmieje się słodko do stróża.
- Ja też strasznie lubię papierosy...

- Panienska na pewno zostanie artystką... tutaj jak przyjadą to każda jedna pali... tak, tak, to już od dzieciństwa trzeba mieć taki dryg, taki fason... faktycznie - i dał jej papierosa.

Chrabąszcze

Bo trzeba wam wiedzieć moi państwo, że tzw. kawały zmieniają charakter w zależności od pory roku... przynajmniej tak było w naszej budzie: jesienią zwykle pachną melancholią, czymś w rodzaju wędnących liści... zimą mają tężyznę i biel... na wiosnę.. o hej ... na wiosnę zielenieją i są zgoła szalone i często głupie... Nawet Stefan nie mógł się od przemocnych podszeptów natury uchronić. Nałapał chrabąszczy całe duże pudełko i stanął w drzwiach, a co która koleżanka weszła, to buch jej po cztery sztuki za kołnierz... Biedactwa później wpadały w szal i tańczyły taniec św. Wita przy akompaniamencie rozzdzierających wrzasków.... Szelma Stefan wprowadzie ofiarował się potem wyjąc żyjątką zza kołnierzy koleżanek, ale te niewdzięczne istoty nawymyślały mu szpetnie, tak że dał spokój.

Kiedy wyspał Irce taka samą porcję, stanęła, zmarszczyła brwi i rzekła pogardliwie:

- Ach ty ośle dardanelski... z byka chyba spadłeś, wyjmij mi zaraz, tylko nie zgnieć... uważaj!

Stefanek spłonął jak wiśnia... nie wiedział chwilę jak się zabrać do tej operacji Stach ofiarował się go wyręczyć, ale nasza królowa była okrutna ... usiadła na ławce tyłem do swej ofiary i wskazała palcem:

- Tu są ... oho!... jeszcze żywe... gmerają się.

Wpakował jej rękę za kołnierz i chrabólki jakoś wyłowił... a ona dopiero wtedy jak się nie odwinie i bęc, bęc zboksowała go tak, że aż się zatoczył.

Analizy działalności literackiej Zarzyckiej dokonała Anna Wzorek w monografii „Twórczość Ireny Zarzyckiej”, Kielce 2004. Opracowania dotyczące autorki „Panny Irki” obejmują 41 pozycji.

Irena Zarzycka z domu Hoeck urodziła się 6 maja 1900 roku w Łodzi, zmarła 16 maja 1993 w Pruszkowie. „Dzieciństwo Ireny Zarzyckiej – jak wspomina jej córka, Maria Kalina – niestety nie było udane”. Rodzice pisarki – Józefa z Jasińskich i Ludwik Hoeck (nazwisko o proweniencji szwedzkiej) – nie stworzyli trwałego związku i domu pełnego ciepła rodzinnego.

Mieli czworo dzieci – dwie córki i dwóch synów, przy czym jeden z synów zmarł w wieku zaledwie 12 lat. Irena, Janina i Tadeusz wychowywali się przy matce, ojciec bowiem zmienił po separacji miejsce zamieszkania. Mimo iż od tej pory jego kontakty z dziećmi z przyczyn oczywistych uległy znacznemu ograniczeniu, to jednak dla Ireny do końca pozostał osobą bliższą niż zasadnicza, wymagająca i co więcej – nie znośca krytycznych uwag matka. Irenie bardziej odpowiadał model życia ojca – urzędnika kolejowego, który nie przejmując się zbyt sprawami materialnymi, zawsze znajdował czas na swoje artystyczne zainteresowania (posiadał zdolności plastyczne). Poza tym Irena tęskniła za jego wrażliwością, czułością i miłością, a tej ostatniej potrzebowała naprawdę wiele. Maria Kalina Zarzycka-Sarnecka, opowiadając o matce i jej nieustannej, spotęgowanej i przewyższającej wszystkie pozostałe pragnienia serca potrzebie serdeczności wyznała: „Miłości zbyt mało znalazła u matki, zbyt krótko szukała u ojca, a tego co dał jej Miecio, miało wystarczyć na dłużej niż on”.

Irena w odróżnieniu od swej młodszej, ale całkowicie oddanej i podporządkowanej matce siostry Janiny, była w dzieciństwie krnąbrna, niesforna, niezdolna, nieokiełznana niemal, tak jak jej późniejsze bohaterki, właśnie dlatego matka nazywała ją „czortem” lub „diablicą” (...)

Barwną kartę życia Zarzyckiej stanowiły lata gimnazjalne: Szkoła – wspominała- to jest coś, co mnie rozkleja, wzrusza, kiedy o niej pomyśle. Ja chodziłam do tak wspaniałego cudownego gimnazjum, że już samo to jest szczęście.

Irena Hoeckówna uczęszczała do Gimnazjum im. Jędrzeja Śniadeckiego w Pabianicach, w którym pracowały same znakomitości, m. in. prof. Henryk Lipski (któremu Zarzycka zadedykowała „Pannę Irkę”), z czasem dyrektor warszawskiego Liceum im. Zamoyskiego, prof. Teofil Wojeński – przyszły kurator. Hoeckówna była raczej humanistką; matkę zwykle informowano, że „Irenka sprawuje się niekoniecznie, ale pisze dobrze”. Większe kłopoty sprawiała jej matematyka, z powodu której powtarzała siódmą klasę. Rzecz znamienita jednak, że jako studentka Wolnej Wszechnicy Polskiej udzielała korepetycji nie z języka polskiego, ale właśnie z owej niezbyt lubianej matematyki. W szkole uchodziła za uczennicę zdolną, ale niezbyt pracowitą. Niejednokrotnie „ratowała się” odpisywaniem, gdyż – jak sama wyznała- „ściągałam dobrze, wzrok miałam bardzo dobry, wystarczyło położyć mi książkę na trzeciej ławce”.

W latach pabianickich prowadziła dość bujne życie towarzyskie. Uczęszczała na cotygodniowe sobotnie potańcówki organizowane przez szkolnych kolegów. Jeden z nich – Mieczysław Zarzycki (późniejszy mąż pisarki) – od początku okazywał Irenie sympatię i szczególne zainteresowanie, ale przez kilka lat zwracał się do niej bardzo oficjalnie – „koleżanko Irenko”. Tak też tytułował większość listów pisanych w okresach wakacyjnych. „Dopiero po paru latach znajomości, w ósmej klasie – wspominała Irena Zarzycka – powiedział mi „ty”. W okresie pabianickim powstały pierwsze pisarskie próby Ireny. Początkowo były to utwory poetyckie (zresztą nigdy niepublikowane), do których autorka nie przywiązywała wagi i nie przypisywała im znaczącej roli. .

„Zaczęłam od poezji – mówiła- coś tam wydrukowali w „Tygodniku Ilustrowanym”. „Bajeczkę o markizie” zdaje się”. Około 1917 roku napisała zbiór krótkich form narracyjnych – „Ślubne pantofelki” – pierwszą według jej własnej oceny godną zauważenia pozycję. Jednak z powodu swego pisarstwa, a właściwie, jak twierdziła jej matka, literatury „niemoralnej”, zaśmiecającej umysł, została usunięta ze szkoły, maturę zdawała eksternistycznie. Dla przyszłej autorki międzywojennych bestsellerów nie było to wcale „katastrofą”, gdyż, o czym mówiła z zadowoleniem, „miała łatwość pisania”. Poza tym wówczas jeszcze sądziła, że nikt i nic nie może zniechęcić jej do tworzenia barwnych powieści.

Humanistyczne zainteresowania, rodzinna tradycja (Józefa z Jasińskich Hoeckowa była nauczycielką języka polskiego i języka rosyjskiego, angażowała się w działalność stowarzyszenia oświatowego

„Macierz Szkolna”, młodsza córka Janina także podjęła pracę w szkole), wreszcie niezwykle realistyczny i praktyczny stosunek Józefy Hoeckowej do życia (sama wychowywała troje dzieci i każdemu z nich nieustannie powtarzała: „trzeba pracować nie po to, żeby mieć co jeść, tylko po to, żeby żyć”), sprawiły, że w 1920 roku w celu rzetelnego przygotowania do zawodu nauczycielskiego Irena rozpoczęła studia w Wolnej Wszechnicy Polskiej. Osiągała na tyle dobre wyniki w nauce, że na ostatnim roku studiów godziła obowiązki studentki przygotowującej pracę magisterską oraz nauczycielki języka polskiego w pruszkowskiej szkole. Ponadto pracowała jako stażystka w kancelarii Ministerstwa Sprawiedliwości na Zamku Królewskim w Warszawie.

Krótki, zaledwie piętnastoletni okres w życiu Ireny Zarzyckiej, trwający od końca 1924 roku do wybuchu II wojny światowej, to lata największego szczęścia. Dnia 13 listopada 1924 roku w kościele św. Michała w Warszawie, w trochę niecodziennej, ale za to typowej dla środowiska oficerskiego scenerii, młoda para zmierzała bowiem do ołtarza w celowo uformowanym szpalerze łańskim, odbył się ślub Ireny Hoeckówny i Mieczysława Zarzyckiego. Tak rozpoczął się kolejny etap w życiu pisarki. W rok później urodził się pierworodny syn – Staś, Zarzycka przerwała pracę zawodową. O decyzji tej zadecydowały zwłaszcza dwa powody – obowiązki macierzyńskie oraz charakter pracy męża, który będąc topografem sporządzał mapy wojskowe, co wiązało się z częstymi, zazwyczaj kilkutygodniowymi wyjazdami. Zarzycka, chcąc towarzyszyć mężowi w jego służbowych podróżach, musiała zrezygnować z posady nauczycielskiej. Wspólne wyjazdy (głównie kresy: Lwów, Stanisławów, Jaremcze, Skole, Żabie, Worochta, Nowogródek itp.) wzbogaciły jednak doświadczenie pisarki, sprawiły, że często zmieniała otoczenie, poznawała nowych ludzi i czerpała materiał do swych powieści. W 1936 roku państwo Zarzyccy zamieszkali w Warszawie przy ulicy Grottgera 2 w służbowym mieszkaniu przydzielonym im przez Wojskowy Instytut Geograficzny, w którym pracował Mieczysław Zarzycki.

„Podczas jednego z wyjazdów - twierdzi Maria Kalina Zarzycka-Sarnecka - mama poznała u barona Gredla zabawną dziewczynę, która stała się pierwowzorem „dzikuski”. Powieść zatytułowana „Dzikuska” (1927) okazała się bestsellerem, a kierujący wydawnictwem „Rój” Melchior Wańkiewicz składał zamówienia na kolejne utwory (rekordowe nakłady „Dzikuski” i „Jawnogrzesznicy” niemal natychmiast poprawiły materialną sytuację „Roju”). W tym okresie Zarzycka była naprawdę szczęśliwa; kochający mąż i uroczy synek dawali jej poczucie spełnienia osobistego, a czytelnicze sukcesy „Dzikuski” (przekł. litewski w 1934 roku; według informacji autorki również przekład czeski), potem zaś „Jawnogrzesznicy” (1928; przekł. litewski w 1937), „Okrychy zakłętego zwierciadła” (1929), „Chłopca z dalekiej ojczyzny” (1929), „Kwiatu jabłoni” (1929), „Córki wichru” (1930), „Pałacu wśród gór” (1930), „Kłamstwa” (1931), „Panny Irki” (1931), „Taboru” (1931), „Królewskiego lotu” (1933), „Wiecznej młodości” (1933), powieści „Pod wiatr” (1934), wreszcie „Wschodów i zachodów” (1934), „Muszli” (1935) oraz „Samotników” (1937) dostarczały satysfakcji i stwarzały pozytywną motywację do dalszej, a przy tym niezwykle lubianej przez Zarzycką pracy twórczej. Autorka „Dzikuski” stała się wówczas tak popularna, że bez trudu rozpoznawano ją na ulicy, a gdy wchodziła do restauracji, orkiestra zaczynała grać specjalnie dla niej. Zarzycka wprost uwielbiała te utwory z dedykacją.

„Była [...] ładna, kochana, pełna radości. Wmawiano jej, że jest kobietą wyjątkową i pod pewnymi względami taką była” - to wizerunek Ireny Zarzyckiej z tamtych lat, skreślony w „Zwierciadle”. Według relacji córki Zarzycka posiadała naprawdę wiele uzdolnień - „chyba wszystkie, z wyjątkiem kulinarnych, bo ojciec z czasem w żartach skarżył się, że Irenka karmi go wyłącznie sałatą”. Istotnie Zarzycka jeździła konno, świetnie tańczyła, grała na pianinie, wykonywała robótki ręczne, a przede wszystkim pisała, w tych bowiem latach powstały wszystkie jej powieści. Podziwiano także urodę pisarki (miała niezwykle jasną karnację, zielone oczy i lekko rudawe, wijące się włosy), zwłaszcza zgrabną figurę i dłonie, które nieprzypadkowo znalazły się na okładce jednego z międzywojennych czasopism z podpisem: „Czy to dłonie, czy kwiaty?”

Latem 1939 roku Zarzyccy wraz z czternastoletnim synem i trzyletnią córką wybrali się na wakacje, spędzili je w Żabim na Huculszczyźnie. Był to jak się później okazało, ich ostatni wspólny urlop. Wybuchła wojna, męża natychmiast zmobilizowano, Zarzycka musiała wracać do Warszawy.

„Zapamiętałam ich ostatnie spotkanie, pożegnanie właściwie – wspomina Maria Kalina Zarzycka-Sarnecka – głowę mamy spoczywająca na piersi ojca, w pociągu na stacji we Lwowie”.

Okres okupacji i czasy powojenne w życiu Zarzyckiej córka nazywa „jednym wielkim dramatem samotnej kobiety”, pisarka zaś mówiła o „tamtym życiu, które umarło w 1939 roku” i swym drugim życiu zapoczątkowanym przez wybuch wojny. Wrześniowe i październikowe dni 1939 roku dla Zarzyckiej, jak i dla wielu innych Polaków, okazały się niezwykle tragiczne. Wypełniły je: rozstanie z mężem, bezskuteczne oczekiwanie na pomoc, wkroczenie wojsk radzieckich do Równego (pisarka podawała się wówczas za tancerkę, musiała ukryć fakt, że miała męża oficera), piesza wędrówka z Równego do Warszawy (po dwóch tygodniach, 12 listopada 1939 roku, przybyła do stolicy), wreszcie dotarcie do obrabowanego i zniszczonego w czasie pożaru mieszkania. Zarzycka, sprzedawszy za bezcen ocalałe meble (zaprojektowane przed wojną specjalnie dla niej przez zaprzyjaźnionego architekta), zamieszkała wraz z matką i siostrą w wynajętym mieszkaniu w Pruszkowie. Natychmiast podjęła prace, w czym pomogła jej znajomość języka niemieckiego. Znalazła zatrudnienie w fabryce przetworów owocowych Obst und Gemusekonserven na Okęciu, której właścicielem był dobry znajomy – Tadeusz Gocłowski. Początki były naprawdę trudne, gdyż, jak sama wspominała, „dźwigałam, bardzo ciężko fizycznie pracowałam. No i to się przydało. Jestem zahartowana. Wszystko umiem.” Pracując przy wyrobie marmolady, uległa poważnemu wypadkowi – oparzyła rękę. Uratował ją pewien palach, który „przyłożył glinę, jakiś smar, oliwę. Po dwóch dniach nie było śladu”. Z czasem z robotnicy obsługującej maszyny awansowała na kierowniczkę wspomnianej fabryki. W okresie okupacji przez blisko trzy lata pracowała także w Międzyzlesiu koło Otwocka, gdzie prowadziła prewentorium dla dzieci będących w trudnej sytuacji rodzinnej i materialnej.

Od tej pory wakacje spędzała tam razem z córką na stałe mieszkającą w Pruszkowie i pozostającą pod opieką babci – Józefy Hoeck. W tym czasie pisarka współpracowała także z Radą Główną Opiekuńczą (RGO), a właściwie z pruszkowskim oddziałem RGO, w ten sposób włączała się w przygotowanie darmowych posiłków dla dzieci czy zbiórkę odzieży.

Z wojennych epizodów życia Ireny Zarzyckiej w pamięci jej córki przetrwało stosunkowo niewiele. Wiadomo jednak, że znajomość języka niemieckiego ułatwiała pisarce przetrwanie w okupowanej Warszawie. „Dzięki swej zalotności, kokieterii i świetnej znajomości języka niemieckiego – twierdzi Maria Kalina Zarzycka-Sarnecka – mama, jadąc kolejką EKD do fabryki na Okęciu, uratowała żydowskie dziecko”, skryła je pod swój płaszcz, a uwagę niemieckich oficerów odciągnęła ciekawą rozmową. W czasie wojny Zarzycka straciła męża (zginął w Charkowie; ostatnią depeşe dostała od niego w kwietniu 1940 roku ze Starobielska) oraz syna (pojmany w ulicznej łapance trafił do Majdanka, gdzie zmarł na tyfus) i dlatego po wojnie nie chciała wrócić do pisarstwa. Po wielu latach wyznała: „Chciałam się podzielić z ludźmi umiłowaniem świata, rozsadzała mnie radość”, ale „nie będę mówiła o tamtym życiu, o swoich książkach [...], chyba nie powinnam”.

W roku 1945 zaczęła „wszystko od początku”. Nie napisała już ani jednej powieści, a „Sześć bajek wybranych” wydała na skutek nalegań prywatnego łódzkiego wydawcy, który mając sześć barwnych ilustracji przedstawiających znane baśniowe motywy, prosił, by dopisała do nich teksty. W 1945 roku Zarzycka powróciła do swego „wyuczonego zawodu”. Przez osiem lat pracowała w szkołach, najpierw w Borzęcinie, potem w pobliskim Ożarowie Mazowieckim, tyle tylko, że tym razem uczyła już nie w szkole podstawowej, lecz w gimnazjum i w szkole zawodowej przy fabryce kabli. Wykładała język polski, historię Polski i naukę o Polsce współczesnej.

W 1953 roku podjęła pracę w Wydziale Oświaty Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Pruszkowie. Następnie została kierownikiem Wydziału Kultury (...) W końcu lat pięćdziesiątych ukończyła kurs bibliotekarski w Pruszkowie i otrzymała posadę kierownika Biblioteki Powiatowej. Pracowała tam ponad dwadzieścia lat, aż do późnych lat 70. (...) w 1960 r. napisała i obroniła na celującą drugą w swym życiu pracę magisterską (dyplom ukończenia Wolnej Wszechnicy Polskiej zaginął w mieszkaniu przy ulicy Grottgera)- tym razem poświęcona utworowi Ernsta Hemingwaya „Stary człowiek i morze”. Maria Kalina Zarzycka-Sarnecka do dziś wspomina żartobliwe powiedzonko swej matki, często powtarzane w tamtych latach : „Skoro „Stary człowiek i morze” to stara kobieta też może”. (...) Zmarła w 1993 r. Jej zwłoki spoczęły na cmentarzu w Pruszkowie -

Żbikowie.

Łódzkie Echo (11.12.1934 r.) odnotowało wizytę Zarzyckiej w Pabianicach.

Z okazji 15-lecia upaństwowienia gimnazjum męskiego im. J. Śniadeckiego w Pabianicach odbył się zjazd dawnych wychowanków tego gimnazjum wszystkich roczników, jak również i tych wszystkich, którzy uczęszczali do b. Szkoły Handlowej Realnej przekształconej następnie w gimnazjum męskie im. J. Śniadeckiego. Na zjazd przybyło około 200 uczestników, dziś już ludzi poważnych i piastujących wysokie stanowiska. Pomiedzy przybyłymi ogólną uwagę zwracała pełna życia i niefrasobliwości głośna autorka „Dzikuski” p. Irena Zarzycka, która jako rodowita pabianiczanka ukończyła b. koedukacyjną „Handlówkę”. Po części oficjalnej w salach Szkoły Rzemiosł przy ul. Tuszyńskiej (obecnie ul. P. Skargi) odbył się bankiet, który w niezwykle miłym nastroju przeciągnął się do późnego wieczora.

O początkach kariery pisarskiej Zarzyckiej opowiada Hanna Kister w książce „Pegazy na Kredytowej. Wspomnienia.” Autorka była żoną Mariana Kistera współwłaściciela Towarzystwa Wydawniczego „Rój”, w którym zadebiutowała Zarzycka.

(...) Ale przypadek zrzędził, że pewnego dnia zgłosił się do „Roju” redaktor pisma (niestety nie pamiętam jakiego) z pytaniem, czy nie mamy jakiejś polskiej powieści, którą mógłby drukować w odcinkach w swojej gazecie. Marian zapytał Polę Królicką (sekretarka), czy nie ma czegoś w szufladzie. Odpowiedziała, że jest jakiś tekst odręcznie pisany i że nikt nie chce go przeczytać. Redaktor odpowiedział, że chętnie przejrzy ten rękopis. To był piątek. W sobotę zatelefonował do nas do domu i oznajmił, że chce rozpocząć druk w poniedziałek. Marian odpowiedział:

- Nie mam umowy z autorką, nie znam jej. Co pan proponuje?

- Dwieście złotych i matryce - odpowiedział.

W poniedziałek wysłaliśmy telegram do autorki z propozycją honorarium w wysokości 200 zł; natychmiast nadeszła od niej odpowiedź: „Szczęśliwa. Zgadzam się”.

Tu nastąpił cud. Redakcja podczas druku została zarzucona listami z zapytaniem - kto wyda książkę? A później „Rój” otrzymał - przed ukończeniem druku w gazecie - tysiące zamówień.

Pierwsze wydanie miało 15 tys. egzemplarzy, ogółem sprzedaliśmy 125 tys. egzemplarzy. No! To była „Dzikuska” Ireny Zarzyckiej. Żadna jeszcze książka w Polsce nie osiągnęła dotąd takiego nakładu. Zaprosiliśmy autorkę do Warszawy, wypłaciliśmy jej poza umową 1000 zł i podpisaliśmy z nią kontrakt na dalsze książki - „Pod wiatr” i „Samotnicy”.

Niestety, następne książki Zarzyckiej nie miały już takiego powodzenia jak „Dzikuska”, w której były jakieś nuty świeżości i prostoty zjednujące jej czytelników - powieść ta została też sfilmowana.

Portret Ireny Zarzyckiej przedstawiła Teresa Krzemień w książce „Znajomi nieznajomi” (1977).

Dzisiaj:

Uśmiechnięta, czarująca starsza pani. Zgrabna sylwetka, elastyczne ruchy, kokieteria w sam raz, nie przesadzona. Twarz jeszcze śliczna w specjalnym typie słodko-urwisowskim, ufryzowane krótkie loczki blond. Nosi czarny sweterek wyhaftowany w błękitne kwiatki, czarna wąska spódniczka, czarny pasek - szeroki z błyszczącą klamrą - ciemnordzawe pończochy. Pantofelki na wysokim obcasie. Na szczupłych palcach srebrne pierścionki. Na przegubach bransoletki. Ranek jest mroźny, ale w pokoju buzuje piec. Napaliła sama. Serwuje keks, kawę, stare fotografie, stare książki, promienne uśmiechy i towarzyską pogawędkę. Rada mi jest. Pokójumeblowany skromnie, ale z

fantazją. Jakieś słomiane maty, suszone bukiety, pęki liści, bibelociki, dużo kwiatów doniczkowych. Na tapczanie druty, włóczka i coś beżowoperłowego, co się akurat dzierga. Pokój jest jej własny, ale mieszkanie dzieli z siostrą: A gdzieżbym sobie sama dała radę, moja miła. – Kiedy się umawialiśmy, była przekonana: Nie trafi pani. To na końcu Pruszkowa, daleko, ulica Hortensji. Na Żbikowie. Właściwie odludzie. – W przedpołudniowym ostrym słońcu odludzie nie wygląda groźnie. Kamienica dwupiętrowa, przedmiejska, z ogródkiem. W niej, na parterze, mieszkanie i pokój, gdzie pijemy kawę.

Kiedys:

Modna autorka modnych powieści. Bożyszczce. Idol. Wydana w roku 1928 „Dzikuska” otworzyła jej wydawnictwo „Rój” oraz serca pensjonarek, krawcowych, maszynistek, gimnazjalistek, pań domu, pań z towarzystwa, nauczycielek i wszelkiego innego damskiego i czulego asortymentu lat trzydziestych Rzeczypospolitej międzywojennej.

Mówiono o niej: Irusia, dzikuska, dzikuska utemperowana. Wymieniano, w różnej kolejności, zależnie od rozmówców, jednym tchem z Courts_Mahlerową, Marczyńskim, Mniszkówną. Napisała około dwudziestu książek. Posłała w świat około dwudziestu melodramatów dydaktycznych, w których zawsze zwycięża dobro i odwaga, w których często najwyższą wartością, obok miłości – ta, rzecz oczywista, musi triumfować, choćby przez respekt dla praw gatunku – jest praca. Albo – poświęcenie. Albo – jedno i drugie, rodem z Żeromskiego, w gęstym sosie trudu u podstaw, ideałów i lepszej przyszłości. Nazywano ją grafomanką i talentem. Żartowano z niej i modlono się do niej... I drukowano. Dopominano się o nowe wcielenia Ity Kruszyńskiej, Marianki – Manon, Irki, jawnochrzesznicy, Iwonki, Łodzi...

Irena Zarzycka – pisarka szczęśliwa, pisarka, do której wzdychano, pisano listy, słano prośby. Nazwisko o określonym ciężarze. Małym dla intelektualistów, wielkim dla masowego czytelnika.

Irena Zarzycka – to przed wojną znaczyło: bestseller. Tylko złośliwcy dodawali: bestseller dla pańienek.

Przy kawie:

- Nie, proszę pani, nie będę mówiła o tamtym życiu, o swoich książkach. To jest – chyba nie powinienam. Tamto życie umarło. W 1939 roku. Straciłam męża, syna. Zaczęłam w 1945 wszystko od początku...

- Byłam taka szczęśliwa! Dlatego pisałam. Dla siebie. Zaczęłam od poezji, coś tam wydrukowali w Tygodniku Ilustrowanym. „Bajeczkę o markizie” zdaje się. Potem napisałam nowelki – „Ślubne pantofelki”. I dopiero „Dzikuska”. Też drukowana była w jakiejś codziennej gazecie najpierw ... już nie pamiętam gdzie. I ktoś z redaktorów posłał ją do „Roju” panu Wańkiewiczowi. Przeczytał i wydał. Dostałam za to 300 zł. Potem płacono mi więcej – 1000-1200 zł za książkę. Kiedy chcieli, żebym pisała. Bo ja pisałam tylko wtedy, kiedy się do mnie o to zwracano. Z „Roju” albo od pana Cukrowskiego. Już nie pamiętam, ile napisałam tych powieści – osiemnaście, dziewiętnaście? „Dzikuskę” najpierw przeczytałam mężowi. Bo byłam już mężatką. Ślub był w 1924. Mąż był kolegą szkolnym, z gimnazjum w Pabianicach. Potem ułanem, a kiedy poszedł do cywila – topografem. Przez ten jego zawód przemierzyłam wszędzie i wzdłuż całą Polskę. Stawaliśmy na kwaterach po różnych majątkach.

- Stąd te Ity i Iwonki?

- Stąd. Ita z „Dzikuski” żyła naprawdę. Jej prototyp. Umarła ta pańienka przy pierwszym dziecku, w połogu. Bardzo to przeżyłam. Spotkałam ją w majątku w Karpatach, pod Skolem, u barona Gredla. Tyle tam wtedy było młodzieży... Ale Ita to także ja. W dużym stopniu. Potem mówili tak do mnie – dzikuska. Bo ja latawiec byłam. W szkole choćby. I w życiu też chyba. Ale szkoła to jest coś, co mnie rozkleja, wzrusza, kiedy o niej pomyślę. Ja chodziłam do tak wspaniałego, cudownego gimnazjum, że

już samo to jest szczęście. Prawdziwe. To było w Pabianicach, gimnazjum im. Jędrzeja Śniadeckiego. Dyrektorem był prof. Henryk Lipski, późniejszy dyrektor warszawskiego Liceum Zamoyskiego. Jakie tam były stosunki! Ja to zresztą opisałam. „Panna Irka” choćby, to mój pamiętnik. Właściwie to była szkoła, proszę pani, koedukacyjna. Mieliśmy bujne życie towarzyskie, w każdą sobotę tańce. Ale mówiliśmy do siebie: koleżanko, kolego. Zawsze na: wy. Mąż, wtedy kolega, powiedział mi „ty” po czterech latach znajomości, w ósmej klasie dopiero... No więc, Pabianice. Profesor Teofil Wojeński, przyszły kurator. Tam zaczęłam pisać. Matce powiedziano: sprawuje się Irenka niekoniecznie, ale pisze dobrze. Ja przecież repetowałam siódmą klasę. Z matematyki kulałam, ale potem – już na studiach (Wydział Humanistyczny Wolnej Wszechnicy Polskiej – polonistyka właściwie) dawałam korepetycje z tej samej matematyki. Ściągałam dobrze, wzrok miałam bardzo dobry, wystarczyło położyć mi książkę na trzeciej ławce. I wesoła byłam, głosikiem szczebiotliwym recytowałam ... Zwłaszcza historia u profesora Wojeńskiego była przyjemna. Ale postrzelona byłam. Wierzyłam – i dziś wierzę – we wróżki, krasnoludki, elfy ... Ita Kruszyńska, pierwsza moja bohaterka, też wierzy. Czytała pani „Dzikuskę”?

Dzisiaj:

Prywatna wypożyczalnia książek, ulica Bracka:

- Nie, nie mamy niczego Ireny Zarzyckiej. Owszem, chętnie kupimy. Za ile? Zależy, w jakim stanie pani przyniesie, co konkretnie. Powiedzmy – 100 zł za egzemplarz. Tyle dam.

Prywatna wypożyczalnia książek pod nazwą „Wiązanka”, ulica Solec:

- Owszem, mam Zarzycką. Proszę katalog, ale uprzedzam: wszystko w czytaniu. Trzeba czekać. Kaucja za wypożyczenie 100 zł, zapis do wypożyczalni – 15 zł.

W katalogu są cztery pozycje: „Dzikuska”, „Pałac wśród gór”, „Jawnogrzesznicza” i „Kwiat jabłoni”.

Sondaże wśród znajomych:

- Nie, nie czytali nic (wieki: 30, 25, 20 lat).

- Oczywiście! Zaraz, zaraz, a „Gehennę” to też ona napisała? (wiek: 45, 50, 55 lat).

Przy kawie:

- Nie starałam się robić fotografii życia, to nigdy. Ale zawsze opierałam się na konkretności. A po „Dzikusce” dostałam list od Wacława Sieroszewskiego. O, jest – widzi pani? Nie, całego przeczytać nie pozwolę!

Tylko odtąd.

Z listu: (papier pożółkły, dwie bite strony tekstu) „... Górnośląska 16 m 6, 31 X 1928 (...) ma Pani talent i to duży talent. Pani powieść zawiera sporo wdzięku, świeżości i pogody. Tego nam teraz potrzeba.”

- Grypę miałam. Właściwie dopiero wstałam, pierwszy dzień. Dlatego źle wyglądałam ... Bo ja mówiłam, że byłam szczęśliwa, w tamtym życiu. Ale teraz też jestem. Bardzo. Zawsze jestem zresztą. A najpierw – bo jestem w pełni sił fizycznych i umysłowych. Mogę pracować. To cudowne, moja miła. Chociaż aktualnie, w tym momencie, jestem na emeryturze. Ale szukam półtatu, bo zwariuję. Już mi się coś klei ... Naturalnie, zawsze pracowałam. Po studiach trzeba było się dorabiać, uczyłam w szkole. Moja mama, która sama wychowywała nas troje, powtarzała: dziecko, trzeba pracować nie po to, żeby mieć co jeść, tylko po to, żeby żyć. Pracować i kochać się. Albo lepiej – kochać. Wszystko dokoła. Ludzi, kwiaty, domy ...

- Wojnę spotkałam we Lwowie, potem szłam z Równego – bo tam się znalazłam – piechotą do Warszawy. Z dwojgiem dzieci. Kalinka miała 3 lata. Staś ... Staś starszy, pierworodny. Zginał na Majdanku. Kalina pracuje w Płomyku, jest redaktorem artystycznym, o mojej przeszłości dzikuskowej wie niewiele... W Warszawie podczas wojny – mąż też już nie żył – pracowałam w fabryce. Obst und Gemüsekonserven. Aleja Krakowska 2, u Pappa. Kierownikiem był Tadeusz Gocławski. Cudowny człowiek, kochany. Ja zresztą – takie szczęście – spotykałam tylko cudownych i pięknych ludzi w życiu – innych nie znam ... Dźwigałam, bardzo ciężko fizycznie pracowałam. No i to się przydało. Jestem zahartowana. Wszystko umiem. Dziś też robię co trzeba. Gimnastykuję się codziennie, a jakże... Wtedy u Pappa oparzyłam się raz, bardzo poważnie. Uratował mi rękę palacz – przyłożył glinę, jakiś smar, oliwę. Po dwóch dniach nie było śladu.

- Ach, kocham dobrych stylistów, Skandynawów, literaturę anglosaską, Manna. Lubię Tetmajera, Rydla. Ideał – Jasnorzewska-Pawlikowska. Za Magdaleną Samozwaniec przepadam. I za Bryllem. Też stylistą, tyle, że plebejski. Mówi pani, że mój język w powieściach nie świadczy o umiłowaniu prostoty? Mój Boże, to, co się naprawdę lubi, to się chowa głęboko, żeby nie wywietrzało.

Kiedyś:

„... Trzymając mocno ramię kobiety, prowadził ją drogą, przez zrab wiodącą ... Świat wyglądał jak zaczarowany, pogrążony w kryształowym srebrze... dal spowita w przejrzyste błękitne welony uśmiechała się sennie ... Miliony opali i pereł drgało na trawach i liściach ... Każdy świerk był bladym omglonym świecznikiem... Tu i tam zrywały się przejmujące dźwięki... cykały świerszcze, ale Marianka myślała, że to gra jej księżyc”. „Pałac wśród gór” – str. 243, wydawca Stanisław Cukrowski, rok wydania nieczytelny.

Przy kawie:

- Nie znoszę obecnej wulgaryzacji języka, tego zaśmiecienia. Ja dużo czytam, tyle lat prowadziłam bibliotekę. Jakoś ... myśleć i odczuwać warto ładniej. Delikatniej. Ja myśleć uczyłam się na „Czarodziejskiej górze”, na porównaniach prozy Dąbrowskiej. Bo „Noce i dnie” to zupełnie coś innego niż „Przygody człowieka myślącego” chociażby. Mniszkówna? Ładny język, ale tam jest wszystko z leżką. Czasami płakałam ze śmiechu, kiedy ją czytałam. Ja wolę pogodę, uśmiech. Może dlatego, że urodziłam się w maju?... Do teatru chodzę rzadko, piętnaście lat już nie byłam. Jakże tu potem wracać, na ten Żbików? Tu mordują, niedawno zabili – tak sobie – dwoje starszków w sąsiedztwie. Więc tylko telewizja, radio. I pismo „Teatr” abonuję. Z czytaniem gorzej teraz, bo nie mogę dostać kropli do oczu, tych co mi potrzeba.

- Czy ja wiem, dlaczego naprawdę pisałam tamte powieści? Chciałam się podzielić z ludźmi umiłowaniem świata, rozsadzała mnie radość ... Po wojnie wydałam tylko bajki dla dzieci, „Sześć bajek wybranych”: O Jasiu i Małgosi, Czerwonym Kapturku itd. Rymowane. Proszę, tu jest egzemplarz. Wydawnictwo Kolumna 1946 rok! Nie, nigdy nie byłam członkiem Związku Literatów. W ogóle nigdy nikogo nie znałam, nie bywałam w tym środowisku. Tylko pana Wańkowicza (z nim kontakt utrzymywałam do śmierci), pana Marczyńskiego i pana Ginsberga... A Marię Dąbrowską spotkałam raz w polu pod Pruszkowem, pomogłam jej załatwić furmankę, a kiedy się dowiedziałam, że to ona, to z wrażenia omal nie zemdlałam. Niosłam wtedy bukiet polnych kwiatów, dałam go jej. Nawet napisała o tym gdzieś, mój Boże, jaka byłam wzruszona ...

Dzisiaj:

Kasetka pełna dyplomów, legitymacji, zaświadczeń. Na macie – obok koguta z ciasta – wiszą odznaczenia: Złoty Krzyż Zasługi, Medal 10-lecia, Odznaka 1000-lecia, wreszcie inne, drobniejszego kalibru. Na wierzchu stosu dokumentów w kasetce czerwona legitymacja PZPR. Dalej – jak wyżej: dyplomy uznania, listy pochwalne. Lata sześćdziesiąte, siedemdziesiąte. Kawa mocna, gorąca. Rozmówczyni uprzejma, niezmeńczona, zyczliwa.

Przy kawie:

- Moje drugie życie. Właściwie można to tak określić. Natychmiast po wojnie zgłosiłam się szkoły. 1 lutego 1945 roku zaczęłam pracę jako nauczycielka Szkoły Podstawowej w Borzęcinie powiat pruszkowski. Chodziłam 16 km piechotą, potem mieszkaliśmy we dwie - z panią Stasią - razem z krową, w takiej obórcie. Potem był Ożarów, też nauczycielstwo w szkole podstawowej i w Gminnym Gimnazjum Samorządowym. Uczyłam polskiego i historii. Potem zgłosił się ktoś, żeby mu pomóc organizować szkołę przyzakładową. Pomagałam do roku 1953. W tym roku przeszłam do Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, do Wydziału Oświaty. Byłam kierowniczką kancelarii, kadrową, planistką, kierownikiem Oddziału Kultury, a potem kierowniczką Biblioteki Powiatowej. Do Biblioteki przeszłam po kursie specjalnym, na samych piątkach zdałam. Pracowałam w tej bibliotece do 1970 roku, potem przeszłam na emeryturę, ale miałam półetat. W związku z reorganizacją straciłam pracę. Ale będzie coś, musi być. Szukałam, mówiłam ... Przez cały czas dawano mi te różne odznaczenia. Miło, prawda? W partii byłam aktywna, ale od przejścia na emeryturę właściwie już w niej nie jestem. Co sama mogę? - Najwięcej to miałam 2800 brutto, około 2600 na czysto.

Znowu o „Dzikusce”?

- Ależ ja tak słyszałam, ten język, którym pisałam. Tak mówiono, tak czułam. Pewnie, że o miłości. Tylko o tym warto. Ale czy to nie jest siła, która trzyma ziemię?

Chandra?

- Nie wiem, pewnie jestem na to za mało subtelna. Za bardzo lubię życie. Przecież mówiłam: miłość jako stosunek do świata.

Temperament?

- To jest dobra rzecz, tylko trzeba go mieć - tak jak rozum - i umieć go użyć.

Marzenie?

- Zamieszkać na wsi. I pracować. Och, jak ja lubię przestrzeń. A nie lubię bloków mieszkalnych. I brutalności. Chamstwa.

Smutna?

- Nie bywam. Nigdy nie biadoliłam. Dzisiaj też nie czuję lat - to szczęście, prawda? Tylko kiedy widzę ścięte drzewo, to mnie boli. Rozumiem, że postęp wymaga ofiar, że muszą być fabryki, ale żadna fabryka tak nie kwitnie jak mak i chaber. A ludzkie nienasycenie - wprost okropne! Wszystko niszczy. A nie wolno. Przecież jest ciągłość, nie wolno podcinać korzeni drzewom.

- Pani Fleszarowa-Muskat? Pani Snopkiewiczowa? Nie czytałam. Ładnie piszą?

- Bolały tamte zarzuty, że grafomanka, że głupia. A ja nie jestem ani jedno, ani drugie. Dlatego nie lubię o tym mówić. Moja najlepsza książka - chyba - to była „Lampa oliwna”. Matryca jej spaliła się podczas wojny.

- Ach, interesuję się tyłoma rzeczami. Polityka. Całe życie. Ekonomia polityczna - podręczniki ekonomii czytałam jak powieść, z zapartym tchem. „Stolicę” uwielbiam, a już redaktora Sadzewicza wprost czciłam. Gorącymi łzami oblałam jego śmierć. Tylko denerwują mnie takie sprawy jak ta z Wróblewiczem. Jakim prawem go Niemcy aresztowali? Przecież nasza państwowość dziś to coś, to wieża, nie pionek. Dlaczego więc w ogóle śmieją?

- Nie, miła - śpieszyć się nie należy. Ale też i niczego nie planować. Żadnej przesady. I ze wszystkiego się otrząsać jak pies. Jak Irusia.

<http://www.bazhum.muzhp.pl>

<http://www.filmpolski.pl>

Autor: Sławomir Saładaj